

Przeglądy i komentarze

25 LAT PÓŹNIEJ. IMPONDERABILIA SPOŁECZNEJ, POLITYCZNEJ I EKONOMICZNEJ ZMIANY

O przełomie demokratycznym w Polsce i w Niemczech z pisarzami Arturem Beckerem oraz Dariuszem Muszerem rozmawia Magdalena Kardach

Magdalena Kardach: Przełom demokratyczny 1989 r. w Polsce i w Niemczech. Jaka była Panów perspektywa, spojrzenie na to wydarzenie?

Artur Becker: Rok 1989 – od 4 lat mieszkałem już na stałe w Niemczech. W 1989 r., w wieku 21 lat zrobiłem maturę oraz odbywałem zastępczą służbę wojskową, czyli dla mnie tego przełomu *de facto* nie było. On zaczął się dla mnie dopiero w 1991 r., kiedy zostały zniesione wizy pomiędzy Polską a Niemcami. Po doświadczeniach zimnej wojny z wielkim sceptycyzmem patrzyłem na to, co się dzieje w Polsce. W sumie, pomyślałem sobie, że to musi być jakieś kolejne oszustwo, bo nie można przecież z takiego reżimu przejść nagle do czegoś, co nazywa się demokracją. Moje wątpliwości przerażały mnie jednocześnie, po prostu martwiłem się o kraj, o ludzi.

Bardzo ciekawym doświadczeniem była moja podróż do Poznania, która miała miejsce 3 października 1990 r. Niemcy akurat świętowały swoje zjednoczenie, a ja patrzyłem na to zdarzenie znowu zza granicy, z innego kraju. Nie brałem udziału w niemieckiej *Wende* i było to dla mnie też takie surrealistyczne przeżycie. Pomyślałem wtedy: nie, przecież oni nie mogą po tylu latach nagle się zjednoczyć, po tych wszystkich kłamstwach komunistycznych po pierwsze, a po drugie byłem naprawdę sceptyczny w stosunku do stwierdzenia, że po niemieckiej stronie wszystko będzie lepiej, że Niemcy szybko sobie poradzą.

Dla mnie 1989 r. zaczął się w Polsce już dużo wcześniej, w 1980 r. właściwie, kiedy miały miejsce strajki, potem stan wojenny, a potem chyba ten najgorszy dla mnie okres 1983-1988, który bardzo przeżywałem, pomimo że byłem już w Niemczech, bo przecież w 1985 r. wyjechałem.

M. K.: Czy może Pan wrócić do swoich ostatnich dwóch lat w Polsce?

A. B.: W 1985 r., gdy wyjeżdżałem, komunizm miał istnieć co najmniej jeszcze 50, 100 albo 150 lat – taka była nasza perspektywa, niezależnie od statusu społecznego – i intelektualista i robotnik tak samo myśleli. Ostatni rok przed wyjazdem mieszkałem sam, ponieważ moi rodzice wyjechali wcześniej, a ja nie dostałem paszportu. Czekałem rok. W tym czasie przeszedłem wszystkie możliwe metody szykanowania, między innymi nachodzenie i wypytywanie, jak mają się rodzice w Niemczech.

Bardzo szybko zacząłem publikować. W 1983 r. miałem swój debiut literacki w „Gazecie Olsztyńskiej” i wtedy już, w wieku 15 lat, bardzo intensywnie przeżywałem tak zwany antykomunizm. To było śmieszne, ponieważ rodzice moich ówczesnych kolegów należeli do nomenklatury, czyli *de facto* rządili państwem, a my z tymi kolegami wyśmiewaliśmy się z nich. Po

1989 r. dowiedziałem się, kto z moich kolegów opowiadał wszystko swojemu tacie, który był SB-kiem, że my założyliśmy taką „firmę”. Nie zdawaliśmy sobie tak naprawdę sprawy z tego, co to jest historia, ponieważ wiele spraw wmawiano nam przez lekturę Marksa, Hegla. Na przykład Popper – czyli cała zachodnia krytyka totalitaryzmów nie był jeszcze wtedy dla mnie objawieniem, może więc tylko Kołakowski, a pojęcie czasu jako zakładnika historii wydawało mi się mimo wszystko obce... Lecz te wszystkie rozważania i tak były nierealistyczne: w upadek socjalizmu bez przelania krwi nikt nie wierzył.

M. K.: *Chciałabym zatrzymać się na chwilę przy pojęciu przestrzeni czasu. Czy może Pan odszukać w swoich wspomnieniach taki moment – swoisty oddech, w którym zauważył Pan, że ten przełom demokratyczny rzeczywiście ma miejsce w Polsce, że wszystko powoli zaczęło iść w pozytywnym kierunku?*

A. B.: Nie wiem, na ile mogę mówić o pozytywnym kierunku, ponieważ dużym problemem była (jest?) dekomunizacja w Polsce, która miała zupełnie inny przebieg niż na przykład w byłej NRD. Polska miała ogromną szansę, mam na myśli 1992 r., rząd Olszewskiego, który został z ważnych powodów rozwiązany, co było konsekwencją słynnego przemówienia Tadeusza Mazowieckiego, w którym mowa była o grubej linii (nie kresce). Polska miała wtedy dwie opcje: przeprowadzić totalną dekomunizację, jak wyobrażał ją sobie Gustaw Herling-Grudziński lub pogodzić się ze swoim losem i pozwolić rządzić dalej sprawcom i ofiarom w imię pojednania, jak widział to po części Giedroyc.

Dla mnie takim przełomowym momentem było wprowadzenie nowego systemu ekonomicznego. Miałem możliwość obserwowania tego zjawiska z bliska, ponieważ mój przyjaciel z Bartoszczyk brał w tym udział: nowa dyrekcja musiała być bezwzględna – w krótkim okresie musiała zwolnić z pracy w zakładzie produkcyjnym „Morena” w Bartoszczykach kilkaset kobiet i mężczyzn, z 1300 pracowników zostało 200 osób. Reszcie z nich zaproponowano pracę w Łodzi, ponieważ zaczęła się współpraca z duńskim konsorcjum. Właśnie wtedy pomyślałem, że w Polsce zaczęło się naprawdę coś zmieniać, ta bezwzględność mnie przerażała. Nie myślałem, że te zmiany tak będą przebiegać. Byłem strasznie naiwny.

M. K.: *Kiedy miała miejsce Pana pierwsza wizyta w Polsce po przełomie demokratycznym, kiedy po raz pierwszy doświadczył Pan Polski uwolnionej z reżimu komunistycznego?*

A. B.: Pierwszy raz byłem w Polsce latem 1990 r., potem w październiku tego samego roku. To, co wtedy mnie uderzyło, to wiązanie demokracji z wulgaryzacją. Pamiętam, w telewizji był wyświetlany film „Psy” Władysława Pasikowskiego, w którym co drugie słowo było przekleństwem. Również nachalne, w moim odbiorze, reklamy. Wszystko wydawało mi się takie „dzikie”. Pomyślałem, że wulgaryzacja Zachodu odbywa się w zupełnie innych wymiarach estetycznych. W 1992 r. spędzałem wakacje w Polsce i miałem dyskusję z polskim oficerem, który zdecydowanie bronił stanowiska, że wejście Polski do NATO jest niemożliwe, a przecież już siedem lat później Polska została członkiem NATO. Opowiadałem o tym dlatego, żeby pokazać jak nierealistyczne pojęcie o świecie i społeczeństwie współczesnym mieliśmy w systemie ideologicznym, który chciał wytłumaczyć eschatologicznie historię, że ona się prędzej czy później spełni. Ja dopiero na Zachodzie dowiedziałem się, że jest coś takiego jak przestrzeń i czas. To jest zjawisko, które wydarzyło się po 1989 r., pojawienie się w Polsce przestrzeni i czasu.

M. K.: *Tomik wierszy Zapomniany strajk jest w pewnym sensie lirycznym zapisem Pana doświadczeń podczas strajku w styczniu w 1981 r. na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Czy możemy cofnąć się do tamtego czasu?*

Dariusz Muszer: Jako pisarz debiutowałem w 1980 r. w podziemnym piśmie *Wprost*, wydawanym przez Niezależne Zrzeszenie Studentów UAM, pisałem wtedy rymowane satyry pod

pseudonimem „Słoniū”. *Zapomniany strajk* napisałem krótko po zakończeniu strajku okupacyjnego studentów Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Strajk trwał przez trzy tygodnie, od 29 stycznia do 18 lutego 1981 r. Wraz z kilkuset innymi młodymi ludźmi siedziałem wówczas w *Collegium Maius*. Mój śpiwór znajdował się nieopodal drzwi prowadzących do gabinetu ówczesnego rektora uczelni. Protest miał charakter ogólnopolski, w Poznaniu strajkowały również inne uczelnie. Tomik ukazał się w 2012 r. bibliofilskim nakładem Oficyny FJ w Toronto, Kanada, czyli 31 lat po napisaniu wierszy. Jedną historyjkę chciałbym z tamtych lat przypomnieć. Podczas strajku należałem do tzw. grupy bojowej, która wykonywała zadania specjalne. Pewnego przedpołudnia rozdawaliśmy z kolegą w mieście ulotki, mające poinformować mieszkańców Poznania o tym, o co walczymy i dlaczego okupujemy uczelnię. Na ulicy Armii Czerwonej, obecnie Święty Marcin, wjechał przed nami na chodnik Fiat 125p, wyskoczyło z niego dwóch tajniaków. Wrzasnęli, że jesteśmy zatrzymani i zaczęli nas ciągnąć do samochodu. W ciągu niespełna minuty otoczył nas tłum przechodniów, który zaczął domagać się od esbeków, żeby zostawili nas w spokoju. Esbecy zbaranieli i nas puścili. Nawet nie zdążyli nas spisać. Tak to poznaniacy uratowali tego dnia kolegę i mnie od palowania na dołku.

Gdy w 1985 r. ukończyłem studia prawnicze, nie pozwolono mi na pracę w wymiarze sprawiedliwości. Pracować mogli ci, którzy nie strajkowali. Odbywało się to tak: „Pan chce u nas pracować, ale pan przecież brał udział w strajku studenckim”. „Przecież cała Polska wtedy strajkowała!”. „Ale cała Polska nie pracuje w wymiarze sprawiedliwości!”. Udało mi się dostać pracę w Strzelecko-Krajeńskim Domu Kultury, gdzie zostałem instruktorem teatralnym. Przez trzy lata wiodło mi się nieźle, zdobywałem nagrody w konkursach literackich, wystukiwałem na maszynie reportaże, słuchowiska, recenzje, felietony, powieści itd. Napisałem sztukę teatralną dla dzieci *Zwierciadło-Śmieszadło*, do której muzykę skomponował Janusz Kupczyński. Prowadzony przeze mnie Ochotniczy Teatr Ad1 zagrał ją 150 razy. Do tego teatru należeli m.in. Jacek Braciak, znany obecnie aktor, Jacek Podemski, który w TV Turbo prowadzi „Wstęp wzbroniony”, czy Piotr Wojtkowiak, dziennikarz TVP S.A.

Nastął jednak rok 1988, pojawiły się poważne problemy. Komuniści zaczęli się na mnie boczyć, próbowali mi wytaczać procesy o różnego rodzaju sprawy, na przykład o obrażenie władzy i nielegalne publikowanie. W sumie doszło do trzech procesów, ostatni dotyczył wydania bez zezwolenia gazety „Echo Strzelec”. Próbowaliśmy z Grzegorzem Gralińskim, współoskarżonym malarzem, poetą i historykiem regionu, uzyskać wtedy pomoc u przedstawicieli „Solidarności” i Kościoła katolickiego, niestety odmówiono nam. Musieliśmy się zatem bronić sami. W pierwszej instancji wygraliśmy, prokuratura jednak złożyła odwołanie. O tym procesie pisały później różne ówczesne czasopisma ogólnopolskie, gdyż okazało się, że był to ostatni w PRL proces z cenzurą. Jeszcze przed wydaniem wyroku w pierwszej instancji zakazano publikacji moich audycji w radiu, a także zostałem zwolniony z gazety, gdzie miałem swój cotygodniowy felieton. Uznałem, że czas zmienić tapetę. Wystąpiłem o paszport, odmówiono mi. Dałem łapówkę i paszport się znalazł. Załatwiłem wizę do Niemiec i wyjechałem. W połowie lat 90. doszły mnie słuchy, że w drugiej instancji zapadł wyrok niewinności. Oficjalnej informacji na ten temat nigdy nie otrzymałem.

M. K.: *Wyjechał Pan w 1988 r., a w 1989 r. nastąpił w Polsce przełom demokratyczny. Czy będąc tam, w Republice Federalnej Niemiec, myślał Pan o powrocie do Polski?*

D. M.: Rok 1989 jest ważną datą dla historii, ale w moim odbiorze nic symptomatycznego się nie wydarzyło. Oczywiście zauważyłem, że miała miejsce Rewolucja Susłów, jak nazywam polską transformację, a także, że rozebrano berliński mur. Miałem jednak inne problemy, musiałem odnaleźć się w nowym kraju, w nowej kulturze. Bardzo szybko, bo cztery miesiące po przyjeździe tutaj, przyjęto mnie do Związku Pisarzy Niemieckich i zacząłem jeździć po

Republice Federalnej z odczytami. Potem, przymuszony okolicznościami ekonomicznymi i towarzyskimi, zdecydowałem się na pisanie po niemiecku i wszystko jakoś samo się potoczyło.

M. K.: Rozumiem, że temat powrotu do Polski nie istniał. Kiedy więc nastąpił taki moment, kiedy pomyślał Pan, że w Polsce zaczynają się pozytywne zmiany przybliżające funkcjonowanie polskiego społeczeństwa do demokracji zachodnich, mam na myśli aspekt wolności obywatelskich, wolności publikowania?

D. M.: W Polsce cenzura w oficjalnych mediach i w głowach ludzi istnieje do dziś. Widać to, słysząc i czując. Na szczęście mamy internet i możemy publikować, co nam się żywnie podobają. To właśnie internet, a nie nowa nazwa i forma państwa, wymusił w Polsce przemiany demokratyczne. I dalej to robi. A władza, jak to władza, stara się wszystko kontrolować, co jednak wcale nie jest takie łatwe w naszej globalnej wiosce. Zawsze można uciec na estoński lub amerykański serwer i poczuć waniliowy zapach wolności.

M. K.: Czyli z Pana perspektywy, osoby mieszkającej w Niemczech, przełom demokratyczny nie przyniósł zmian tożsamościowych wśród Polaków?

D. M.: Ależ oczywiście, że przyniósł. Każdy Polak może obecnie z dumą przypuszczać, że jest Europejczykiem i powtarzać to sobie jak mantrę. A ja żyję w Hanowerze i wcale nie jestem Europejczykiem, tylko polskim Dolnosaksończykiem z wyboru i Lubuszaniec z urodzenia. Jak mawiał nasz wielki poeta: był sobie stół, który uważał się za stołówkę.

M. K.: A jak Pan, zsocjalizowany jednak w dużej mierze w społeczeństwie zachodnim, ponieważ w wieku 17 lat zamieszkał Pan na stałe w Niemczech, postrzega te zmiany tożsamościowe wśród Polaków? Czy kiedy obecnie odwiedza Pan Polskę obserwuje Pan „europeizację” polskiego społeczeństwa?

A. B.: Ja patrzę inaczej niż Dariusz Muszer na moje doświadczenia w Polsce, ponieważ Muszer ma zupełnie inne doświadczenia psychologiczne. Muszę wrócić do korzeni, ponieważ one są w tym kontekście bardzo ważne. Mitologizuję swoje wspomnienia, ponieważ byłem dzieckiem w Polsce i jako dziecko zostałem intensywnie doświadczony przez dwie ideologie: przez komunizm i przez polski katolicyzm w latach 70. Nie byłem w stanie pojąć, kto tak naprawdę tym krajem rządzi, a z drugiej strony wychowałem się na ziemiach, które dla mnie były bardzo europejskie. Na Mazurach słyszało się wiele języków, przyjeżdżali turyści z różnych krajów, było to w pewnym sensie życie na wyspie. Z drugiej strony mój bardzo wczesny kontakt z literaturą miał też wpływ na postrzeganie rzeczywistości. Dzięki pracy mojej mamy, która była nauczycielką języka polskiego, w naszym domu było mnóstwo książek. Zacząłem bardzo szybko tę literaturę czytać i gdy miałem 15 lat interesowałem mnie bardziej Szekspir czy Miłosz niż problemy codzienne i tak naprawdę byłem bardzo oddalony od tej szarej rzeczywistości peerelowskiej. Docierało do mnie, że istnieje też inny kawałek Europy. Kiedy moi rodzice pod koniec lat 70. pierwszy raz wyjechali do Niemiec Zachodnich, wrócili zszokowani innością świata, której tam doświadczyli.

Ale pytanie, kim ja jestem, kim są Polacy zaczęło zajmować mnie dopiero po 1989 r. Po pierwsze w mojej głowie powstał bardzo szybko podział na Polaków na emigracji i Polaków, którzy zostali w Polsce. Z tymi drugimi mógłbym się bardzo szybko porozumieć, natomiast polscy emigranci w Niemczech byli mi mentalnie bardzo odlegli, ponieważ byli skoncentrowani na szybkim zasymilowaniu się i polepszeniu swojej sytuacji materialnej, co oczywiście zrozumiałe – większość wyjechała przecież z powodów ekonomicznych. Ale doskwierała mi jeszcze inna rzecz: ich świadomość historyczna, czyli raczej jej brak. Zatracali się szybko w nowej tożsamości, nie byli w stanie brać odpowiedzialności za nową i starą, a jednocześnie byli przesiąknięci atawizmami z ojczyzny. To wydawało mi się dość absurdalne, takie przedstawienie jak u Mrożka lub nawet Ionesco.

D. M.: *Ciekawy jest ten kontekst wypowiedzi życia.*

A. B.: Tak, to prawda, jednak w czasie, kiedy mieszkaliśmy w peerelowskiej Polsce było bardzo trudno zdefiniować siebie jako Europejczyka, ponieważ przepaść pomiędzy Europą a Polską była ogromna. Zachód był tak dominujący, że miało się poczucie, że jest się Polakiem ze Wschodu. Później przy okazji moich wizyt w Polsce, w 1999 r. czy w 2004 r. odnosiłem się z pobłażaniem do tematu europeizacji Polski, ponieważ zadawałem sobie pytanie: chwileczkę, jaki powrót do Europy? Przecież Polska została przez Europę rozebrana i była cały czas w Europie, była wielojęzyczna. Tylko czas komunizmu zatarł, zepchnął w zapomnienie europejskość Polski. Przecież w okresie międzywojennym Polska była na wskroś europejska, dlatego patrzyłem z pobłażaniem na budzenie się tej świadomości Polaków, że zaczęli przypominać sobie, iż należą do jakiejś wielkiej części kultury europejskiej. Pomyślałem: bez przesady, to są tylko ekonomiczno-demokratyczne procesy, które tu zachodzą, 25–30 lat i Polska będzie wyglądała jak Holandia. Miałem na myśli nie tylko drogi rowerowe czy procesy urbanizacyjne.

M. K.: *A jeśli chodzi o zmiany mentalności i tożsamości Polaków, których spotyka Pan podczas swoich wizyt w Polsce po 1989 r.?*

A. B.: Tak, właściwe nie ma znaczenia, czy są to pisarze, czy intelektualiści, czy prości ludzie. Jest tak, że albo mają kompleksy i cały czas podkreślają: „wiesz, my teraz jesteśmy w Europie i nasz kraj jest taki otwarty na zmiany”, albo nie mają kompleksów i ten temat w ogóle nie istnieje. Ci drudzy są dla mnie dużo bardziej wiarygodni.

M. K.: *A „europejskość” literatur? Zachodniej, niemieckiej i polskiej?*

A. B.: Niemcy od 26 lat „przerabiają” swój *Wenderoman* i prawda jest taka, że zainteresowanie Niemców zachodnich tym kompleksem tematycznym jest znikome, to jest zjawisko literackie przetwarzane przede wszystkim przez pisarzy z byłej NRD. I jeśli taka powieść nie odniesie merkantylnego sukcesu, to najczęściej przechodzi zupełnie niezauważona, nie ma nawet żadnych recenzji. To wiem od moich znajomych – pisarzy z byłej NRD.

Dla mnie tak naprawdę mentalnościowe zjednoczenie Niemiec nie istnieje. To nadal są dwie różne nacje, które przeprowadzają tak zwany eksperyment pod tytułem zjednoczenie, ale każdy zajmuje się swoimi tematami z własnej perspektywy. Być może Ingo Schulze dobrze przedstawił niemiecką *Wende* w powieści *Simple Storys*, niemniej jednak wprowadził do obiegu stereotypy Niemca zachodniego i wschodniego, które bardzo zakorzeniły się w niemieckiej świadomości społecznej właśnie przed 1989 r.

A jeśli chodzi o Polskę? Ja swój punkt widzenia dostosowuję do wroga, którego spotykam lub do światopoglądu, z którym się zderzam. Czasami jestem dumny, że jestem z Europy Wschodniej, czasami jestem Kosmopolakiem, a czasami tłumaczę Francuzom czy Niemcom, że to jest głupota, że Polska jest Europą Środkową czy Wschodnią, ponieważ Polska jest Europą Zachodnią. Gdy 1 grudnia 2014 r. Donald Tusk został przewodniczącym Rady Europejskiej, niektórzy Niemcy dopiero uświadomili sobie, że Polska należy do Unii Europejskiej. Niestety, spotykam też takich ludzi w Hamburgu czy we Frankfurcie nad Menem.

M. K.: *Powieść „Wodka und Messer. Lied vom Ertrinken” została przetłumaczona na język polski i ukazała się w 2013 r. nakładem wydawnictwa Borussia. W Polsce ta książka jest postrzegana, szczególnie w kręgach literaturoznawców, jako powieść przełomu. Czy jako pisarz miał Pan takie poczucie, że chciał się Pan zmierzyć z tematami związanymi z przełomem demokratycznym?*

A. B.: Raczej nie, niemniej jednak ta powieść opowiada z zewnętrznej perspektywy o tym, co wydarzyło się w Polsce po 1989 r.; jeśli więc chodzi o gatunek literacki, to rzeczywiście można zdefiniować ją jako taki polski *Wenderoman*, chociaż polscy pisarze tego gatunku nie uprawiają. Wiem, że *Gnój* Wojciecha Kuczoka był taką próbą, może *Traktat o łuskaniu fasoli*

Wiesława Myśliwskiego, ale większość polskich autorów tak naprawdę boi się dotykać tych drażliwych tematów, demaskować polskie kompleksy i demontować stereotypy. Zresztą, to nic nowego: choroba tego strachu przed samym sobą znana jest od czasów Stanisława Brzozowskiego. Ale na całe szczęście pojawiają się od czasu do czasu i tacy, którym wszędzie niewygodnie i zaczynają pisać właśnie pod prąd i bardzo krytycznie o swojej nacji oraz o sobie.

M. K.: *Pomimo że akcja powieści ma miejsce na Mazurach, jej wymowa jest dość uniwersalna, ponieważ losy, których doświadczają postaci literackie mogłyby być udziałem bohaterów w różnych częściach Polski. Niewątpliwie zawiera elementy realizmu magicznego, ale ja zaklasyfikowałabym tę powieść jako wyróżniającą się cechami nowego realizmu.*

A. B.: Tak, na pewno chodziło mi o to, jak literacko odnieść się do tej trudnej rzeczywistości po przełomie 1989 r. Nie można unikać takich tematów jak na przykład alkoholizm czy postkomunistyczny polityczny karierowicz. Jest to bardzo trudne zadanie – poruszać te zgoła trywialne problemy, które są po prostu obecne w społeczeństwie, a jednocześnie stworzyć literacko wartościową powieść. Moim zamysłem nie było więc nakreślenie negatywnego obrazu społeczeństwa polskiego, a pokazanie, że imponderabilia takiej wielkiej politycznej i ekonomicznej zamiany dotyczą bardzo małych, indywidualnych losów i nierzadko są przyczyną osobistych tragedii. Najbardziej fascynuje mnie to zagadnienie: jak wielka Historia determinuje małe pojedyncze ludzkie historie.

Myślę, że pojawiło się w tej powieści parę tematów tabu, z którymi Polakom cały czas trudno jest się zmierzyć, być może też z tego powodu, że polskie społeczeństwo nie jest jeszcze tak otwarte jak na Zachodzie. Chodzi tu oczywiście o tolerancję.

M. K.: *Napisana przez Pana w 1993 r., a w Polsce wydana w serii RE-MIGRACJE nakładem czasopisma Borussia w 2008 r. powieść „Lummick” jest zapisem przeżyć i obserwacji polskiego emigranta w Niemczech, który na początku lat 90. powraca do swojej rodzinnej miejscowości Rzepin oraz do swoich wspomnień z okresu PRL-u. Obserwuje ludzi i zmieniające się okoliczności życia po 1989 r. Chciałbym wrócić do pytania o polski Wenderoman.*

D. M.: Czy to jest *Wenderoman*? Powiedziałbym, że taki to *Wenderoman*, jaka wtedy była w Polsce *Wende*. Ci sami ludzie – bądź ich dzieci lub członkowie ich klanów – zajęli te same miejsca, które wcześniej zajmowali w społeczności. Tylko pokrowce na stołki się zmieniły: stały się bardziej kolorowe i wyściełane. W *Lummicku* najistotniejszy był dla mnie problem pamięci i zdrady. Jest to moja dysputa z Knutem Hamsunem, moim ulubionym pisarzem, i jego krótką powieścią *Na zarośniętych ścieżkach*. Bohater Hamsuna to człowiek, który niby zdradził, ale tak naprawdę nie zdradził, gdyż pozostał tylko wierny samemu sobie. Piszę o tym, co mnie zajmuje, co mnie prześladowa i bawi, nie mam ambicji pisania powieści doraźnych. Taka karma mi się trafiła.

M. K.: *Odnosząc się do istnienia literatury w różnych przestrzeniach mentalnych i topograficznych chciałabym zapytać Panów o pojęcie Europy Środkowej z perspektywy pisarzy z polskimi korzeniami, żyjących i tworzących w Niemczech.*

D. M.: Pojęcie Europy Wschodniej zostało zdefiniowane przez Wydział Statystyczny Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tenże Wydział określił, które kraje przynależą do Europy Wschodniej, a które do Zachodniej. Mnie się to rozłożenie klocków podoba. Oczywiście jestem świadomy tego, że poszczególni mieszkańcy Europy będą mieli swój subiektywny pogląd na to, do której części topograficznej i mentalnościowej przynależą i że jest to zależne nie tylko od poglądów osobistych, ale przede wszystkim od polityki. Polacy to Słowianie Zachodni, ale czy z tego powodu można wnioskować, że zaliczają się oni do kultury Zachodu? Do 1988 r. sądziłem, że żyję w Europie, a nie w Afryce, choć niekiedy pewne podobieństwa do tego zacnego kontynentu mocno rzucały się w oczy. Kiedy przyjechałem do Niemiec, dowiedziałem

się nagle, że Polska leży w Europie Wschodniej i że w Helmstedt zaczyna się taka część świata, która z cywilizacyjnym rozwojem ma mocno na pieńku. Podkreślić wypada, że Niemcy, używając określenia, iż Polska leży w Europie Wschodniej, nie zawsze jednak zabarwiają swoją wypowiedź negatywnie, gdyż zazwyczaj mają na myśli jedynie określenie topograficzne, a nie stopień zejścia z drzewa. Polacy lubią podkreślać, że wraz z Niemcami okupują teren „Europy Środkowej”. Dlaczego? Bo to jest swego rodzaju chęć podlizania się Zachodowi. Tyle, że kraj ten znajduje się – zarówno pod względem mentalności, jak i topograficznym – w Europie Wschodniej i ten fakt przesądza o tożsamości Polski, ponieważ to, co w Polsce najpiękniejsze, jest właśnie wschodnie. Łącznie z tym, że jako lud indoeuropejski przybyliśmy przed wiekami z pewnego bliżej niesprecyzowanego zakątka Azji, czyli ze wschodu. Z mojej perspektywy, a wywodzę się z wypędzonych z terenów należących obecnie do Ukrainy, Polska miała jeszcze stosunkowo niedawno zupełnie inne granice; jeśli ktoś mi mówi, że Polska leży w środku Europy, to tak, jakby chciał powiedzieć, że ta olbrzymia i ciekawa kultura, jaka została stworzona przez moich przodków, nagle się przesunęła w niebyt. To tak, jakby ktoś chciał powiedzieć, że Rzepin, miasto, które uważam za moje rodzinne, to również Polska. A przecież Rzepin dopiero od 70 lat znajduje się w Polsce, w stosunku do wieku dębu stojącego na tamtejszym podwórku szkolnym nie jest to żadne specjalne osiągnięcie, nie wspominając już o wieku Ilanki, rzeki przepływającej przez to miasto. Nie chcę przez to w żadnym wypadku stwierdzić, że Rzepin jest niemiecki. Rzepin, jak każde inne miasto na świecie, to tylko kawałek ziemi, który został oddany w bezpłatne użytkowanie ludziom przez planetę Ziemię. Dlatego też ludzie powinni postarać się nie zawieść zaufania Ziemi. Często im to jednak nie wychodzi, gdyż albo zaczynają się bić o coś, co wcale do nich nie należy, czyli o ziemię, albo niszczą i zatruwają tę darowaną dzierzawę, jakby nic lepszego nie mieli do roboty. Kiedyś w Rzepinie mieszkali Niemcy, dziś są tam Polacy, a kto przyjdzie po nich, tego jeszcze nie wiemy, może Indonezyjczycy albo dwunastoręczni Robokkerzy z planety E565. A swoją drogą, ciekawe, co by powiedziała sama Ziemia, czy choćby przysłowiowy słoń na polskojęzyczny ambaras z Europą Wschodnią i Środkową?

A. B.: Moja perspektywa spojrzenia na Europę Środkową pokrywa się z punktem widzenia Dariusza Muszera. Studiowałem między innymi kierunek, który nazywał się *Kulturgeschichte Osteuropas* i definicja Europy Wschodniej, którą wyniosłem ze studiów jest właśnie taka, że Europa Wschodnia zaczynała się w Helmstedt. Dla mnie Polska jest Europą Wschodnią o bogatych tradycjach zachodnich i jestem z tego bardzo dumny. Europą Środkową byłyby dla mnie właśnie Niemcy i Włochy, pomiędzy Polską a Francją.

Kolejną kwestią są oczywiście różnice kulturowe, a Polacy mają ogromne tendencje do dewaluowania Europy Wschodniej. Europa Zachodnia ma oczywiście też swoje kompleksy.

M. K.: *Jakie kompleksy ma Pan na myśli?*

A. B.: Europa Zachodnia ma swój wielki problem, jeśli chodzi o wiarę – problem apostazji. Mieszkańcy Europy Zachodniej w przeważającej większości zbudowali eschatologię racjonalną, złaicyzowaną, polegającą na tym, że im większa konsumpcja tym większe zadowolenie, większa satysfakcja w życiu. Społeczeństwa zachodnie nie rozumieją takich społeczeństw jak Rosja, którą idealizują, w szczególności w kręgach lewicowych. Cała filozofia zachodnia: Spinoza, Pascal, Kant – jest racjonalizacją zjawisk transcendentnych, czyli sprowadza je do takiego poziomu, żeby były zrozumiałe, czyli *ratio, ratio, ratio*. Stąd strach społeczeństwa zachodniego przed wielkimi ideologiami, takimi jak na przykład islam. Człowiek Zachodu nie lubi czegoś nie rozumieć.

D. M.: Dochodzimy tu do bardzo ważnego punktu: jeżeli Polacy chcą być bliżej Zachodu, musieliby się wyrzec swoich marzeń i wierzeń. Wszystkiego tego, co piękne, tajemnicze,

baśniowe – ludzkie i kosmiczne zarazem. Nie sądzę, żeby mieli na to naprawdę ochotę. Na Zachodzie nie ma bowiem już Boga, a przynajmniej nie w tym rozumieniu, jakie nadawane jest temu pojęciu przez Słowian, ludy tureckie i arabskie, przez aborygenów, Indian, Inuitów i Saamów – przez wszystkich mieszkańców naszej planety, dla których kontakt z absolutem jest sprawą oczywistą. Na komputery, komórki i coca-colę można się od biedy zgodzić, kiedy jednak ktoś zaczyna dobierać się do twojej duszy, musisz się mu postawić, bo inaczej stracisz wszystko. Jeśli zatem mieszkańcy Europy Wschodniej zdecydują się na popełnienie zbiorowego samobójstwa, na pozbawienie się własnej transcendentalności i duszy, przez co ztracą swoją tożsamość, to ja nie będę potrafił się z tym pogodzić. Jako pisarz nie wyobrażam sobie, żebym mógł pisać bez wiary w to, że istnieje coś większego od mnie, jak to robi na przykład Michel Houellebecq, którego skądinąd niezwykle cenię, ponieważ on mówi mi wszystko na temat współczesnego człowieka Zachodu: o pustce, która się w nim rozpościera i zewsząd go otacza, o dogorywaniu kolejnej ziemskiej cywilizacji. To nie pod Zachód powinniśmy się podczepiać, tylko pod siebie, pod swoją własną tradycję. Słowianie przybyli do Europy na ostatni gwizdek i wiele wskazuje na to, że jako ostatni opuszczą Europę. Ich miejsce zajmą inne ludy i tyle będzie ich obchodził Zachód, co nas obchodzi upadek Cesarstwa Rzymskiego.

A. B.: W Polsce zaczynają uwidaczniać się duże podziały pomiędzy katolikami i tymi, którzy chcą prowadzić procesy sekularyzacyjne. Niestety dużym problemem jest brak tolerancji. „Solidarność” wywalczyła wolność, ale nie wywalczyła otwartości społeczeństwa i to jest problem, z którym Polska zmagą się cały czas i proces ten jeszcze potrwa.

D. M.: Chciałbym odnieść się jeszcze krótko do, moim zdaniem, ciekawej tezy antropozofa Rudolfa Steinera, która mówi, że to, co się na Wschodzie zapali, musi nabrać formy na Zachodzie. Dlatego ta właśnie konfrontacja i przenikanie są tak ważne dla Europy. Tak, jak Niemcy czy Holendrzy jadą do Polski, żeby szukać tego ognia, który w nich wygasł, tak ludzie ze wschodniej części Europy jadą na Zachód, żeby nabrać tam formy. Ogień to całkiem niezły wynalazek natury, ale dopiero zamknięcie go w formę zapalniczki daje nam możliwość, że papierosa możemy zapalić wszędzie.

M. K.: *Zaczęliśmy naszą rozmowę od literatury i chciałabym, żebyśmy skończyli na literaturze. Czy literatura, którą Panowie tworzą tu i teraz, nosi w sobie symptomy procesu przełomu demokratycznego 1989 r., który miał miejsce w Polsce i w Niemczech oraz w Panów prywatnych biografach?*

A. B.: W mojej literaturze na pewno tak, w kontekście identyfikacji, ale to wydarzyło się już w powieściach, które ukazały się jakiś czas temu, na przykład w książce *Das Herz von Chopin*. Dziś jestem w innym miejscu. Zmagam się z moją tożsamością tu i teraz: Kosmopolak, Kosmoniemiec, Kosmoeuropejczyk. Rzeczywiście w swoich książkach mierzyłem się z problemem zderzenia mentalności Wschodu i Zachodu, ale temat ten powoli odchodzi. Przecież w Polsce też minęło już 25 lat od momentu przełomu demokratycznego i w ludziach nastąpiły pewne przemiany, a szczególnie w ludziach, których spotykam w Polsce. Są oni już w pewnym sensie „zglobalizowani”.

D. M.: Dla mnie największym osiągnięciem związanym z tym, że mieszkam od 27 lat w Niemczech, jest poczucie, że żyję w społeczeństwie multikulturowym. Nie przepadam za jednonarodowymi państwami, lubię wielorakość. Książki, które piszę po niemiecku, skierowane są do niemieckojęzycznych obywateli tej części świata, w której mieszkam, niezależnie od tego, skąd przybyli i dokąd jeszcze zamierzają się udać. To daje mi ogromną satysfakcję. Gdybym pozostał w Polsce, odszedłbym pewnie z tego świata bardzo zawiedziony oraz niespełniony jako pisarz i musiałbym się po raz kolejny tu zjawić. To, co napisałem po niemiecku, zostało wydane, przyjęte i zrozumiane, czyli moja praca nie poszła na marne. Natomiast to, co tworzę

w języku polskim jest raczej pieśnią przyszłości, czyli – na razie – wszystko psu na budę. Nie mam wrażenia, żebym potrafił plemieniu, z którego się wywodzę, cokolwiek powiedzieć. Cieszę się ogromnie z pozytywnych procesów, jakie tam zachodzą, niemniej jednak odczuwam swoją obcość, z roku na rok coraz większą. Pani przyjechała do nas, na ziemię niemieckie, żeby porozmawiać z pisarzami, żeby coś zbadać, a następnie wrócić do siebie, do swoich i coś im tam opowiedzieć, czyli jest Pani pośrednikiem. To nas zapewne zbliża, ponieważ wszyscy troje jesteśmy pośrednikami między kulturami i to jest najtrudniejsze zadanie do spełnienia.

M. K.: *Dziękuję bardzo za rozmowę*¹.

Hanower, styczeń 2015

Artur Becker urodził się w 1968 r. w Bartoszycach na Mazurach w rodzinie o korzeniach polskich i niemieckich. Jest jednym z najbardziej znanych niemieckojęzycznych autorów pochodzenia polskiego. W 1985 r. wyjechał na stałe do Niemiec, gdzie do tej pory opublikował kilkanaście powieści, nowele oraz tomiki wierszy w języku niemieckim. Pisze również eseje, przede wszystkim dla gazety „Frankfurter Rundschau”, a także tłumaczy. Większość jego powieści związanych jest tematycznie z Warmią i Mazurami. Ostatnio ukazały się: *Vom Aufgang der Sonne bis zu ihrem Niedergang, Roman*, (weissbooks.w, Frankfurt am Main 2013), *Sieben Tage mit Lidia, Novelle* (weissbooks.w, Frankfurt am Main 2014).

W Polsce ukazały się dotychczas nakładem wydawnictwa Borussia dwie jego powieści: *Kino Muza*, Olsztyn 2009 oraz *Nóż w wodzie. Pieśń o topielcach*, Olsztyn 2013. Artur Becker jest członkiem niemieckiego P.E.N.-Clubu. Wielokrotnie nagradzany, m.in. prestiżową nagrodą im. Adelberta von Chamisso za rok 2009 oraz w 2012 r. Nagrodą Dialogu, przyznawaną przez Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich (*Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband e. V.*) oraz przez dwujęzyczny „Niemiecko-Polski Magazyn Dialog” na rzecz pojednania polsko-niemieckiego.

Dariusz Muszer urodził się w 1959 r. w Górzycy na Ziemi Lubuskiej. Pisarz, poeta, publicysta, eseista, dramaturg i tłumacz. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Debiutował w 1980 r. w podziemnym piśmie studenckim „Wprost”. Jest autorem licznych publikacji: powieści, wierszy, opowiadań, recenzji, reportaży, esejów, felietonów, bajek, piosenek, sztuk teatralnych i słuchowisk. Pisze po polsku i niemiecku. Od 1988 r. mieszka na stałe w Hanowerze. Ostatnio wydał: *Zapomniany strajk* (2012) i *Schädelfeld* (2015).

¹ Rozmowa ta w niemieckiej wersji językowej ukaże się w: A. Krauze-Olejniczak, S. Piontek, *Die Wende von 1989 und ihre Spuren in den Literaturen Mitteleuropas*. Peter Lang, Frankfurt am Main 2016.